

Rozpędzony tygrys, czerwony smok

22 kwietnia 2018

Prezydent Xi Jinping, mianowany spadkobiercą Mao, wiedzie Chiny ku światowemu przywództwu i przyszłości bliskiej ideałom partii.

Mijają dwa tygodnie, odkąd temat wojny handlowej między USA a Chinami zdominował światową prasę gospodarczą. Termin „wojna” robi wrażenie, przywołuje na myśl zniszczenie na wielką skalę. „Wojna” rozgorzała więc na razie głównie w umysłach i w mediach. Nic dziwnego: taki był prawdopodobnie jej podstawowy cel, z którym prezydent Donald Trump przystępował do jej rozniecania – przecież od początku swojej prezydentury zapowiadał „przykręcenie śruby” Państwu Środka, obarczając Chiny dużą częścią winy za to, że „Ameryka nie jest już wielka”. W tym sporze nie idzie jednak o same taryfy. Dla USA Chiny są problemem. Rozwijają skrzydła zbyt szeroko, lecą zbyt wysoko. Tak wysoko, jak chcą.

PRÓBA SIŁ

Pod koniec marca Trump zapowiedział nałożenie 25-procentowego cła na importowane z Chin wyroby o wartości szacowanej na ok. 60 mld USD. To wielka suma, chociaż może być odczuwalna raczej bardziej dla firm w USA niż chińskich eksporterów. Cła nie są wybiórcze, specyficznie antychińskie – dotyczą ogólnie wwozu określonych towarów do USA. Na razie w ramach przyjętego planu „przyklepano” już taryfy na stal i aluminium, chociaż zaledwie 3 proc. ich importu pochodzi z Chin. Pekin błyskawicznie „odwdzińczył się” kontrtaryfami na 128 amerykańskich towarów – m.in. żywność i... złom (sic!) – o stawkach wynoszących 15-25 proc. i o szacunkowej wartości 3 mld USD. To bardzo powściągliwa reakcja. Wzmiankowana kwota to zaledwie 2 proc. całkowitego chińskiego importu ze Stanów.

Ten odwet „pro forma” nie powinien jednak budzić zdziwienia, bo 60 mld dolarów, które Trump chce „przyblokować,” stanowi również ułamek całego eksportu chińskiej gospodarki – żałosne 3 proc. USA przecież nie obłożyły i nie obłożyłyby cłami towarów masowej konsumpcji. Dopiero wtedy obie gospodarki odczułyby reperkusje – przykładowo 41 proc. noszonych przez Amerykanów ubrań i aż 72 proc. obuwia ma metkę „Made in China”. To akurat miałoby wielkie znaczenie... i właśnie dlatego do tego nie dojdzie. Obie gospodarki są dziś tak ściśle od siebie zależne, że wojna celna na pełną skalę faktycznie doprowadziłaby do katastrofy, być może światowej.

Jak duże znaczenie ma amerykański popyt przekonali się Chińczycy po kryzysie w 2008 r. Załamanie rykoszetem uderzyło również w nich, sprowadzając wzrost chińskiego PKB do poziomu jednocyfrowego i powodując masowy wzrost bezrobocia; z jego skutkami Chiny zmagają się do dziś. Zręcznie rozgrywana wojna gospodarcza nie musi być prowadzona koniecznie na jak największą skalę. Liczy się też taktyka związana ze strukturą wymiany handlowej, a więc określeniem strategicznych obszarów oddziaływania.

Gdyby rząd ChRL był zdeterminowany do sparaliżowania amerykańskiej gospodarki śmiało mógłby się ograniczyć np. do odcięcia USA od tzw. rzadkich metali, m.in. iterbu, neodymu, dysprozu, które są kluczowe dla produkcji high-end: od smartfonów przez turbiny wiatrowe po sprzęt wojskowy. W „szalonych latach dziewięćdziesiątych”, za Clintona, Amerykanie całkowicie oddali swą zależność od tych pierwiastków właśnie w ręce Chińczyków. Na razie taki ruch nie wchodzi to jednak w grę, bo „nie zarzyna się dojnej krowy”. Od kilku lat zresztą Amerykanie są regularnie straszeni widmem „walutowej bomby atomowej”, którą Chińczycy mogliby zagrozić ich gospodarce – mowa tu o kwocie prawie 1,3 bln USD, którą ChRL posiada jako rezerwę walutową. Gdyby zaczęła jej się pozbywać, mogłaby pogrążyć dolara. Dzisiaj byłoby to bez sensu, choćby z powodu konieczności utrzymania optymalnego

kursu juana do dolara z myślą o eksporcie.

Tymczasem pozycja Państwa Środka w gospodarce światowej umacnia się i będzie umacniać się dalej. Gdyby więc nastąpiła rzeczywista wojna gospodarcza, byłaby ona przejawem ugruntowanej już hegemonicznej pozycji Chin, a nie sposobem na jej zdobycie. I gdyby ktokolwiek zdecydował się „zatopić” dolara, znaczyłoby to po prostu, że stary „zielony” niewiele jest już wart. Obecna wymiana ciosów między Waszyngtonem a Pekinem nie jest walką o wymierne korzyści, lecz grą psychologiczną, sondowaniem przeciwnika i próbą sił przed decydującą rozgrywką o światową dominację – ta zaś nieubłagana nadchodzi. Świat już widzi, że Chiny przechodzą wielką przemianę i idą po wszystko. I w takiej właśnie chwili USA zajęte są piłowaniem gałęzi, na której siedzą! Głupota, cynizm i zaślepienie Donalda Trumpa, działającego według zasady „po mnie choćby i potop”, stanowią dla prezydenta Xi Jinpinga wymarzoną sytuację, by wysforować się na pozycję światowego lidera. W zasadzie już mu się to udało – formalnie socjalistyczne Chiny zaczynają nadawać kierunek światu globalnego kapitalizmu.

WEJŚCIE XI

Pod koniec lutego na Ogólnokrajowym Zjeździe Ludowym przedstawiciele Chińskiej Partii Komunistycznej zapowiedzieli wprowadzenie istotnej zmiany do konstytucji: zniesiona zostanie klauzula ograniczająca okres prezydentury do dwóch kadencji. Xi dostanie w ten sposób możliwość pełnienia urzędu dożywotnio, o ile nie utraci zaufania partii. To znak niekwestionowanej pozycji, jaką zdobył u siebie chiński przywódca.

Xi Jinping skupia dziś w swoim ręku trzy najważniejsze funkcje: pierwszego sekretarza partii, prezydenta i naczelnego zwierzchnika sił zbrojnych. Nie tylko sam zakres władzy państwowej, ale i polityczny autorytet upodobił go dzisiaj do samego Mao Zedonga. Już dzisiaj Xi ma status przywódcy

wybitnego. Ostatni zjazd ChPK formalnie potwierdził jego historyczną rolę, decydując się na uroczyste wpisanie „myśli przewodniczącego Xi Jinpinga” do statutu partii. Tym samym znalazł się on w partyjnym panteonie wraz z Mao i Dengiem Xiaopingiem. Zdaniem niektórych komentatorów właśnie dyplomatyczna i reprezentacyjna rola Xi stanowiła przesłankę na rzecz „zabetonowania” go na stanowisku prezydenta. Inny powód trudno w istocie wskazać.

Chiński przywódca mógł uznać 2017 r. za przełomowy. Tzw. społeczność międzynarodowa, czyli klasa rządząca wiodących państw i wpływowi przedstawiciele ponadnarodowego kapitału, uległa wyraźnemu rozczarowaniu, wręcz zniesmaczeniu drapieżnym i aroganckim stylem prezydentury Donalda Trumpa, który już w przemówieniu inauguracyjnym prezydenturę nakreślił niepokojącą wizję stosunków międzynarodowych, opartą na nieufności i narodowym egoizmie, przypominającą grę o sumie zerowej, przesyconą przeczuciem nieuchronnej konfrontacji. Powszechne oburzenie wywołało wycofanie się USA z Paryskiego Porozumienia Klimatycznego. Krótkowzroczne podsycanie konfliktów na Bliskim Wschodzie, utwierdziło resztę świata w przekonaniu, że Trump uprawia „piractwo” nastawione wyłącznie na poklask u siebie w kraju. Posunął się jednak nawet do zapowiedzi wycofania się Stanów Zjednoczonych z UNESCO. Pojawiły się nawet głosy, że Trump próbuje kijem zawracać globalizację – i nic dziwnego.

Ponieważ prezydent USA na własne życzenie wypisał się z „cywilizowanego świata”, Xi Jinping bez trudu wskoczył w powstałą po nim pustkę. Dziennikarze, analitycy i przedstawiciele kapitału niemal jednogłośnie opiewali go po jego wystąpieniach na forum w Davos, na szczycie G20 w Hamburgu i na pekińskiej konferencji w sprawie nowego „Jedwabnego Szlaku”. To zrozumiałe: mówił o harmonijnym współistnieniu, wzajemnym szacunku, współpracy, zrównoważonym rozwoju; potępił izolacjonizm i protekcjonizm, współzależność przedstawiając jako szansę dla wszystkich, jednoznacznie deklarując gotowość Chin do odegrania wiodącej roli w

realizacji tej wizji.

Światowa elita z zadowoleniem przyjęła nowego lidera, spokojna o mniej więcej stabilne warunki dla od dawna kulejącej akumulacji kapitału. Jeden biegun globalizacji zanika, tak jak zanika porządek, na którym oparta była jego dominacja – globalna hegemonia dolara ustanowiona w Bretton Woods właśnie się załamuje. Amerykański kapitalizm – żywioł o niewyczerpanej niegdyś sile – ugrzązł w końcu w zyskach, których nie mógł produkcyjnie przetworzyć, i wpadając w pułapkę finansjeryzacji, sam odesłał napędzające go siły wytwórcze za ocean, gdzie pracowało się wtedy za miskę ryżu. Tam też wyłania się nowa oś światowej gospodarki i raczej – wbrew narracji o początku „świata wielobiegunowego” – dalsza globalizacja będzie miała jedno centrum.

NOWE CHINY

Globalizatorzy nie udzielają nikomu kredytu zaufania za same piękne słowa. To przypieczętowanie procesu trwającego od lat. ChRL wkroczyła na tę ścieżkę w 2012 r. wraz z objęciem przywództwa partii przez Xi. Jego Chiny definitywnie odrzucają pogardliwą etykietkę „fabryki świata”. Wraz z nastaniem światowego kryzysu 2008 r. i trwałym osłabieniem gospodarki USA, ówczesny chiński rząd postanowił obrać nowy kierunek w polityce gospodarczej, będący próbą przyśpieszenia rozwoju poprzez uniezależnienie się od eksportu, który wiązał konsumpcyjny apetyt społeczeństwa w kagańcu niskich płac. Szerokie spektrum narzędzi interwencji gospodarczej pozwolił rządowi na stymulację popytu wewnętrznego poprzez gigantyczną akcję kredytową, pozostającą poza możliwościami rządów reszty świata. Skutek był jednak tymczasowy i powierzchowny – rozdęto wielką bańkę spekulacyjną na rynku nieruchomości, która zaczęła pękać w okolicach 2014 r. Xi, obejmując władzę, wiedział, że nie tędy droga. Przekonał partię do nowej idei: Chiny staną się centrum akumulacji kapitału dzięki scaleniu uśpionego potencjału Eurazji i uwolnieniu go w wielkich przedsięwzięciach infrastrukturalnych, tworzących nowy

organizm gospodarczy o kontynentalnych rozmiarach, zdolny „postawić się” Ameryce.

Zagraniczni komentatorzy szybko zwrócili uwagę na rozmach jego politycznej wizji, której filarami są dwa ambitne projekty: Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB) i kolosalne przedsięwzięcie Jeden Pas Jedna Droga, czyli nowy „Jedwabny Szlak” mający uczynić z Chin lidera rozwoju w Azji. Inicjatywa AIIB powstała w 2014 r. od razu zyskując zaufanie krajów Azji i Ameryki Łacińskiej szukających sposobności do uwolnienia się od dominacji USA w rejonie Pacyfiku, które przystąpiły do jego współtworzenia. Bank rozpoczął działalność w 2016 r. i w jego skład weszło 57 państw członkowskich. Ku wściekłości ustępującej wówczas administracji Baracka Obamy, akces zgłosili też sprawni sojusznicy USA, m.in. Wielka Brytania i Niemcy (jest też i Polska). Instytucja dysponuje dziś kapitałem o równowartości 100 mld USD, co stanowi z grubsza połowę Banku Światowego. Za pomocą banku Chiny Xi chcą wypromować juana na nową walutę światową i robią to z powodzeniem. Porzucili politykę dewaluacji swojego pieniądza na potrzeby eksportu, przez co Amerykanie nie ustają w pretensjach, że chińska waluta jest przewartościowana. W 2016 r. MFW przyjął juana za jedną ze swoich jednostek obrachunkowych. Mało tego, w zeszłym roku Arabia Saudyjska zaczęła honorować rozliczenia za ropę naftową w juanach, niedawno zaś na giełdzie w Szanghaju zadebiutowały denominowane w tej walucie kontrakty terminowe na ropę – chwije się więc potęga petrodolara. Czy to koniec OPEC-u, jaki znamy? Z pewnością początek nowego układu sił na świecie.

Wiele będzie zależało od powodzenia JPJD. To gigantyczny projekt transportowo-energetyczny, sięgający Europy, Bliskiego Wschodu i Afryki, który ma stworzyć alternatywę dla handlu idącego przez Morze Południowochińskie. Dzięki temu, jeżeli Pekin myśli o zneutralizowaniu Stanów, będzie mógł na dłuższy czas odłożyć konieczność rozpoczynania z nimi regularnej wojny. Nie jest jeszcze na to gotowy, choć podobno ma być

gotowy w 2025 r. JPJD ma zgodnie z zamysłem stanowić bazę rozwojową gospodarki przyszłości i nadać realne podstawy chińskiemu systemowi monetarnemu. Komplementarny wobec JPJD jest projekt „Made in China 2025”, uruchomiony w 2015 r., który ma rozpędzić Chiny w wyścigu technologicznym.

Raz jeszcze: Chiny idą po wszystko. Xi zaimponował elitom globalnego kapitalizmu – ma zatem już ich poparcie. Czym jednak może być kapitalistyczne imperium stworzone przez partię komunistyczną, która nie ustaje w zapewnieniach o swej wierności naukom Mao?

ZASADNICZA SPRZECZNOŚĆ

Chiny cechuje oczywiście szokująca niekoherencja kapitalistycznego żywiołu, który wlał się za Denga, i komunistycznej ideologii niezmiennie dominującej w sferze publicznej. Oficjalnie ustrój kraju to „socjalizm z chińską specyfiką” i potwierdził to zeszłoroczny zjazd ChPK. Od końca lat 80. XX wieku partyjni ideolodzy stawali na głowie, a potem na rżęsach, żeby udowodnić, że w Chinach panuje socjalizm. Ale nie warto się łudzić: realnie jest to kapitalizm z chińską specyfiką. Określa ją olbrzymia skala sektora państwowego w gospodarce oraz kontrola państwa nad biznesem i przepływami kapitału. Biorąc pod uwagę wielkość kraju, liczebność społeczeństwa i olbrzymie kwoty inwestycji zagranicznych, rząd centralny zdolny jest zgromadzić masę kapitałową i siły biurokratyczne, które na drodze celowych, wielkoskalowych inwestycji będą nadawały gospodarce pożądany przez partię kierunek, nawet przy braku centralnego planowania na pełną skalę, kiedy rzeczywistym regulatorem decyzji przedsiębiorstw jest stopa zysku. Trudno przy tym nie zauważyć, że firmy państwowe często funkcjonują na zasadach czysto kapitalistycznych, tj. realizują cel komercyjny.

Wielkość sektora publicznego w Chinach jest imponująca, nie do porównania z resztą świata: wg danych MFW, aktywa państwowe stanowią 150 proc. PKB i dwukrotnie przekraczają kapitalizację

firm prywatnych. Trzeba jednak uwzględnić, że stosunek ten się stale zmniejsza. Zachodzą jednak inne ciekawe zjawiska, np. zagraniczne inwestycje bezpośrednie maleją względem PKB, dając rządowi raczej większy margines swobody w kraju. Państwo nadal odpowiada za większość zatrudnienia. Chiny stale wypadają bardzo źle w sondażach otwartości na prowadzenie biznesu, co oznacza, że partia nie ma zamiaru „podlizywać się” kapitałowi. Zagraniczne firmy muszą w dużej mierze dzielić się swoimi technologiami (co nota bene było jednym z pretekstów, z których skorzystał Trump, żeby wzniecić awanturę celną). Rząd zdecydowanie preferuje również państwowych inwestorów jako partnerów JPJD.

Szczególną uwagę zwraca jednak tendencja mało widoczna, ale wzrostowa: rozrasta się sieć partyjnej kontroli na poziomie funkcjonowania zarządów nie tylko w sektorze państwowym, lecz i prywatnym. Podlega im nie 3 proc. biznesów, jak w 1999 r., lecz już 13 proc. W prawie wszystkich firmach zatrudniających ponad 100 osób działa partyjna komórka patrząca na ręce kapitalistom! Cóż, rzeczywiście jest to chińska specyfika. Być może ustrój nowego chińskiego imperium w dalszym ciągu nie jest przesądzony.

XIX zjazd partii zrównał „myśl prezydenta Xi Jinpinga” z naukami Mao i Denga. Mówi się o wyraźnym socjalistycznym ożywieniu ideologicznym. Przewodniczący wiele mówił o konieczności wzmożonej edukacji marksistowskiej na wielu poziomach. Co najważniejsze, „myśl Xi Jinpinga”, która zawiera również jego wizję Chin jako wiodącej siły światowej, oficjalnie otwiera „nowy rozdział w dziejach kraju”. To już trzecia „wielka epoka” po erach Mao i Denga. Każdej towarzyszyła autorska idea przewodniczącego, każda też – zgodnie z duchem materializmu dialektycznego – musiała opierać się na „zasadniczej sprzeczności” określającej kierunek zmian zachodzących z chińskim społeczeństwem. Sprzeczność ta – zidentyfikowana oczywiście przez wodza – wyznaczała linię partii. Za Mao była to tradycyjna walka klas; za Denga, który

wpuścił kapitalizm, była to sprzeczność między „zacofanymi siłami wytwórczymi a potrzebami materialnymi i duchowymi narodu”. Sprzeczność „epoki Xi” zachodzi między „niezrównoważonym rozwojem a rosnącą u ludu potrzebą dobrego życia”. Sformułowanie karkołomne i cokolwiek mało marksistowskie – prawdziwym mottem winna być sprzeczność między kapitalistycznymi stosunkami produkcji a komunistyczną ideologią państwową.

DŁUGI MARSZ

Xi podkreślał na zjeździe, że polityka partii musi być „skoncentrowana na ludziach”, a wyznaczać ją muszą cele społeczne: harmonijny zrównoważony rozwój, walka z ubóstwem, podnoszenie poziomu życia. Edukacja i dostęp do służby zdrowia uznany został za prawa człowieka. Prawa człowieka w szerszym kontekście i swobody demokratyczne zostały taktownie przemilczane – poza tym jednak ogólna wymowa nowej linii wydaje się zaskakująco zbieżna z celami tradycyjnej socjaldemokracji. Podsumowując, dojdzie zapewne do próby okiełznania żywiołu rynkowego i skanalizowania jego energii tak, by ożywiała nowoczesne, względnie egalitarne społeczeństwo burżuazyjne „z chińską specyfiką”. Światowe dokonania Chin dowodzą, że Xi Jinping i jego partia traktują swoje rolę poważnie. Z powodzeniem realizują ambitne cele polityki międzynarodowej, dlaczego więc inaczej mieliby podejść do spraw krajowych, w tym zasadniczych? Uwolnienie socjalizmu od „chińskiej specyfiki” wymagałoby z pewnością żelaznej dyscypliny i pryncypializmu w samej partii, gigantycznej organizacji politycznej liczącej 60 mln członków. Sukces przeprowadzonej przez Xi kampanii antykorupcyjnej może stwarzać na to nadzieję.

Zagrożenia są głównie dwa. Po pierwsze, nie będzie żadnego socjalizmu bez podmiotowego udziału klasy robotniczej. Tak się składa, że Chiny porzucające status „fabryki świata” są jednocześnie największą na świecie areną strajków. Owszem, poziom życia rośnie, a nierówności powoli zaczęły się

zmniejszać. Partia wie, że płace muszą rosnać, a warunki pracy cywilizować się. Jednak opór robotników jest traktowany bezwzględnie, a rozumiany zapewne jako zagrożenie rozprężeniem politycznym w społeczeństwie, więc i zagrożeniem dla władzy partii.

Po drugie, tworząc nowy biegun globalizacji Chiny zaczynają się rozpychać w świecie gospodarczo i militarnie. W samych USA poziom chińskich inwestycji wzrósł z niemal zera do 64 mld USD w ciągu 10 lat. W skali globalnej jest to suma dziesięciokrotnie większa. Inwestycje są najczęściej zlokalizowane w tzw. krajach rozwijających się, wiele z nich w Afryce, mają charakter infrastrukturalny i służą zarówno pozyskiwaniu wpływów politycznych, jak i nabijaniu zysków chińskim firmom. Wzrost aktywności wojskowej na Morzu Południowochińskim i coraz wyraźniejsze uzależnianie od siebie gospodarek Azji Płd.-Wsch. powoduje, że ich rządy zaczynają się tym razem skłaniać w stronę Ameryki Trumpa, powodując wzrost nastrojów wojennych. Pytanie zatem, czy konieczność pragmatycznej rywalizacji z USA na arenie światowej nie zrujnuje moralnie i politycznie możliwości „postępowego przywództwa” Chin. Identyczny proces pogrążył ZSRR. Związek radziecki nie miał jednak w sobie takiej elastyczności, jaką ma „socjalistyczne” Państwo Środka.

Piłka pozostaje w grze, zagrywa Xi Jinping.

Autorstwo: Paweł Jaworski

Źródło: Strajk.eu